

Wycieczka autokarowo-piesza „Czeska Szwajcaria”

Na sobotę 29 września 2015 r. Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zaprosił chętnych na nietypową wycieczkę. Miał to być w zasadzie wyjazd autobusowy, ale tym razem połączony z przejściem pieszym. Dlatego też w informacji podano zarówno odległości jakie trzeba będzie przejść oraz różnice wysokości do pokonania. Jak się okazało informacje te mimo, iż bardzo istotne, nie do końca zostały przez niektórych zrozumiane. Było to wiadome już przy pierwszym podejściu, kiedy niektóre osoby zaskoczone wymagającym szlakiem musiały zawrócić do autobusu. Na szczęście takich turystów było niewielu.

Wracając jednak do zaplanowanej trasy to dla większości chętnych samo hasło *Czeska Szwajcaria* działa tak elektryzująco, że nawet bez wiedzy o tym co tam zobaczą zapisują się na taką wycieczkę w ciemno. I wcale nie ma w tym nic dziwnego. Rejon ten bowiem jest tak interesujący, że by go naprawdę poznać nie wystarczy jednodniowy pobyt. Obszar ten uformowany z piaskowca, a więc niezbyt trwałego materiału, na przestrzeni lat został zmieniony przez warunki atmosferyczne do takiego stopnia, że dzisiaj trudno uwierzyć w to co widzimy. Wielkie bloki skalne podziurawione jak ser szwajcarski, liczne głębokie wąwozy i niesamowite przejścia oraz porastający je las tworzą tak niepowtarzalną atmosferę, że najchętniej zostalibyśmy tam znacznie dłużej niż zaplanowaliśmy. Pewnie dlatego chętnych na dzisiejszą wycieczkę było tak dużo, że trzeba było zorganizować kolejny wyjazd w dniu jutrzejszym.



Foto: Krzysztof Tęcza

Ci, którzy „załapali” się na dzisiejszy wyjazd już nie mogą wytrzymać i robią zdjęcia mijanych obiektów przez okna autobusu. Słychać achy i ochy. Najciekawsze jednak wciąż jest przed nami. Dopiero gdy wjeżdżamy do Jetřichovic i ruszamy w „góry” widzimy te wszystkie formy skalne jakie powstały na przestrzeni lat. Celowo pisząc góry ująłem je w cudzysłów, bo dla nas mieszkańców Karkonoszy, obszar nie przekraczający 500 metrów, nie robi żadnego wrażenia. Jednak, jak wkrótce się okazało, byliśmy w błędzie myśląc w ten sposób. Te wszystkie podejścia wąwozami, schodami wykutymi

w skałach czy uformowanymi z piasku ujętego drewnianymi balami, nieźle dały nam się we znaki. Naprawdę odczuliśmy to w nogach. I to wszyscy, nawet ci wprawieni w tego typu podejściach.

Początkowo droga wiedzie w kierunku widocznego lasu i nic nie wskazuje na trudy jakie nas czekają. Nawet widoczne nad drzewami pojedyncze skały nie sprawiają wrażenia, że dojście do nich okupimy potem i zmęczeniem. Mało kto zauważył nawet, że skały wyglądające jak rozpostarte skrzydła kryją coś niezwykłego. Na razie jednak nie zdradzę co.



Foto: Krzysztof Tęcza



Foto: Krzysztof Tęcza

Na granicy lasu ustawiono kamień z napisem informującym, że właśnie wchodzimy na teren Národní park České Švýcarsko (Parku Narodowego Czeska Szwajcaria). Już po chwili widzimy co nas czeka. Zaczynają się pierwsze, wykonane z drewnianych bali, schody. Tam gdzie była taka możliwość wykuto stopnie w skale. Ze względu jednak na to, że piaskowiec nie jest zbyt twardy, zostały one wytarte przez przechodzących tędy piechurów i naprawdę trzeba uważać gdzie się stawia stopy. Mijając ujęcie wody zauważamy jakieś dziwne namalowane czerwoną farbą znaki w kształcie kielicha. Co prawda prowadzą one nieco w bok ale próbujemy ustalić o co chodzi. Bo przecież nie o winiarnię. Okazuje się, że na końcu ścieżki mamy niewielką jaskinię i coś jakby ołtarzyk. Za to szlak turystyczny koloru czerwonego, który prowadzi do pierwszego zaplanowanego miejsca odpoczynku, jest świeżo wymalowany, co nastraja nas bardzo pozytywnie.

W końcu docieramy na pierwszy szczyt i jesteśmy oczarowani. Nie zmieni tego nawet ostatnie dwieście metrów podejścia tak stromeego, że nawet wspomniane schody niewiele by dały gdyby nie barierki, których mogliśmy się trzymać. Zwłaszcza, że ruch w obie strony, jest tutaj niezwykle duży. Czesi, znani z łżejszego podejścia do wycieczek w góry niż my, zabierają z sobą nie tylko dzieci, nawet w brew logice niemowlaki, ale także swoje czworonogi. Na szczęście psiaki są tak zmęczone podejściem, że nie zwracają na siebie uwagi. My, wspinając się na szczyt, nie możemy uwierzyć w to co widzimy. W zagłębieniu skalnym rosną soczyste zielone liście. To, że roślina ta może czerpać wodę wiadomo ale skąd bierze pożywienie by przetrwać. Toż to prawdziwa zagadka.



Foto: Krzysztof Tęcza

Jesteśmy na wystającej wysoko ponad okolice skale o obecnej nawie Mariina skála. Książę Ferdinand Kinský w dowód miłości nazwał owa skałę imieniem swojej żony. On też w roku 1856 polecił zbudować tu drewniany zadaszony taras mający służyć rozwijającemu się ruchowi turystycznemu. W tamtych czasach dla ułatwienia wejścia wykonano 240 schodów. Niestety do dnia dzisiejszego zachowało się ich o kilkadziesiąt mniej, ale fakt ten wcale nie przeszkadza w odwiedzaniu tego urokliwego miejsca coraz większym tłumom wędrowców. Zwłaszcza, że obecnie, po pożarze z roku 2005, wzniesiono tutaj małą altankę z tarasem wystającym nieco poza skałę. Z tarasu tego roztacza się wspaniały widok, jednak przejście nim dookoła może przyprowadzić nas o szybsze bicie serca.

Warto jednak zaryzykować i przekonać się jak interesującym jest uczucie być zawieszonym nad przepaścią. Ciekawi mnie jedno, jak to jest gdy ciemne chmury zejdą niżej i nadciągnie burza. Niestety dzisiaj nie będzie okazji przekonać się o tym. Trzeba ruszyć na dół gdyż robi się niezły tłok. Jeszcze tylko spojrzenie na zawieszony tutaj portret księżnej i ruszamy po schodach mijając tych, którzy dopiero tu dotarli.



Foto: Krzysztof Tęcza

Idziemy na kolejny punkt widokowy. Tutaj niestety nie ma tak komfortowych warunków. Są tylko barierki ochronne. Ale to nic. Machamy do turystów widocznych na tarasie altanki, odwdzięczając się w ten sposób tym, którzy machali nam gdy byliśmy na pierwszym szczycie. Jesteśmy na Vilemínina stena (Ściana Wilhelminy). I znowuż księżę Kinský, chcąc uczynić z tego miejsca atrakcją turystyczną, przystosował skałę do przyjmowania odwiedzających i nazwał ją imieniem swojej matki. My wykorzystujemy tak piękne miejsce do odpoczynku i zrobienia kilku ciekawych zdjęć. Także grupowych. Będziemy mieli ładną pamiątkę.

Idąc na trzeci szczyt mamy okazję przekonać się ile trzeba było włożyć pracy w to by wszystkie te miejsca były udostępnione bezpiecznymi ścieżkami. Co chwilę przechodzimy pod wykutymi skalnymi okapami, mając po jednej stronie skalną ścianę a po drugiej przepaść. Tam gdzie nie można było inaczej pozakładano barierki i klamry. Faktycznie bez tego trudno byłoby pokonać tak niebezpieczne miejsca.

Wreszcie docieramy pod ostatni szczyt, nazwany, a jakże na cześć wspomnianego wcześniej księcia Rudolfův kámen. Może nie było to zbyt oryginalne ale któż zabroni księciu nadać swoje imię miejscu, które w końcu stworzył. Tak, stworzył, bo do tej pory była to zwykła, niczym nie wyróżniająca się skała. Dopiero gdy księżę kazał pozakładać tu barierki i drabiny prowadzące raz szczelinami, raz po stromych skałach, szczyt stał się dostępny dla każdego kto miał w sobie dość odwagi by się tu wdrapać. Nawet dzisiaj trzeba mieć spore samozaparcie by nie zawrócić z drogi. Nic dziwnego, że kilka osób nie wytrzymało emocji podczas wspinaczki i nie dotarło na samą górę. Ale dobrze to o nich świadczy, że w momencie kiedy łapał ich lęk wysokości mieli na tyle rozsądku by nie stwarzać

zagrożenia dla innych. Zwłaszcza, że miejsca na drabinach było tak mało, iż tworzyły się zatory. Ci zaś, którzy dotarli na szczyt, nie tylko, że mogli nacieszyć oczy pięknymi widokami ale także odpocząć w kolejnej drewnianej chatce ustawionej na stalowych podporach, jako że jej wymiary były nieco większe niż miejsca na skale. Jedyną tutaj niedogodnością był bardzo silny wiatr powodujący przeciągi takie, że chcący w spokoju zjeść posiłek, szybko rezygnowali z tego pomysłu.



Foto: Krzysztof Tęcza



Foto: Krzysztof Tęcza

Jedyną ozdobą w tym domku, poza ładnymi widokami, był zawieszony portret księcia. Ciekawe czy ktoś zauważył, że okiennice zamykane są tu od środka a drzwi wejściowe od zewnątrz.

Zapewne wynika to z tego, że gdy ktoś, ze względu na złą pogodę, chciałby przenocować, nie mógł zamknąć się od środka, by kolejny przybyły także mógł skorzystać ze schronienia.



Foto: Krzysztof Tęcza



Domek wrośnięty w skałę. Foto: Krzysztof Tęcza

Jak już wspominałem wejście na ten szczyt było niezwykle trudne i niebezpieczne. Ale okazało się, że zejście na dół to prawdziwe wyzwanie. Większość trasy trzeba było pokonywać ślizgiem na czterech literach, czasami nawet nie wiadomo było czy aby nie lepiej przeczłogać się do najbliższej barierki. Naprawdę było niewesoło. Aż zastanawialiśmy się czy nam się to po prostu nie wydaje, przecież nic nie wskazywało na takie trudności. Dopiero gdy zesliśmy znacznie niżej, już z leśnej drogi, zobaczyliśmy na jakiej skale jest umieszczona nasza chatka. Dopiero wtedy przekonaliśmy się,

że mieliśmy prawo mieć wspomniane trudności z zejściem z góry. Dlatego teraz byliśmy bardzo szczęśliwi idąc prostą drogą. Nasze dobre samopoczucie wzrosło jeszcze bardziej gdy znaleźliśmy się pod górą, z której wyrastała skała z pierwszą altanką. Aż nie chciało się wierzyć, że tam byliśmy.

Wracając do autobusu spotykaliśmy coraz więcej osób chodzących po zaroślach i szukających czegoś w krzakach. Zaciekawieni przyglądaliśmy im się dosyć długo, aż wreszcie nas olśniło. Przecież oni szukają grzybów! Okazało się, że właśnie pokazały się w tym rejonie pierwsze grzyby. No może nie wszystkie były jadalne ale zawsze to coś.

Pora wreszcie zdradzić to co zataiłem na początku tej relacji. Ponownie znaleźliśmy się przy skale wyglądającej jak rozłożone skrzydła. Otóż zbudowany u ich podnóża mały domek w sporej części wykorzystuje jako fundamenty i ściany znajdującą się tu skałę. Z powodu małej ilości miejsca przy jej budowie wgrzyziono się w piaskowiec. Zresztą już wcześniej widzieliśmy wiele wydrążonych w skałach pomieszczeń służących ludziom za piwnice.

Wreszcie chwila wytchnienia. Podjeżdża nasz autobus i jedziemy dalej. Trochę się spieszymy by zdążyć na czas. Pozostał nam bowiem jeszcze jeden obiekt do zwiedzenia ale jaki! Na razie nie powiem. Wszystko ma swoją kolej. Gdy wysypujemy się z autobusu, który odjeżdża na odległy parking, jasnym się staje, że nie mamy wyjścia i musimy iść do przodu. Oczywiście, jak to w życiu bywa, najpierw jest równo, droga wydaje się przyjemna. Po chwili jednak się zaczyna. Droga wznosi się coraz stromiej pod górę. Podłoże jest coraz mniej stabilne. Niech żałują ci, którzy nie wzięli górskich butów. Nie mamy już wątpliwości, że to konieczność. W przekonaniu tym uświadczy nas obrazek w napotkanej kapliczce przydrożnej. Pokazuje on tragedię jaka rozegrała się tu w 1872 roku, kiedy to jadąca na koniu kobieta spada do urwiska. Oczywiście nie miała prawa przeżyć tego upadku.

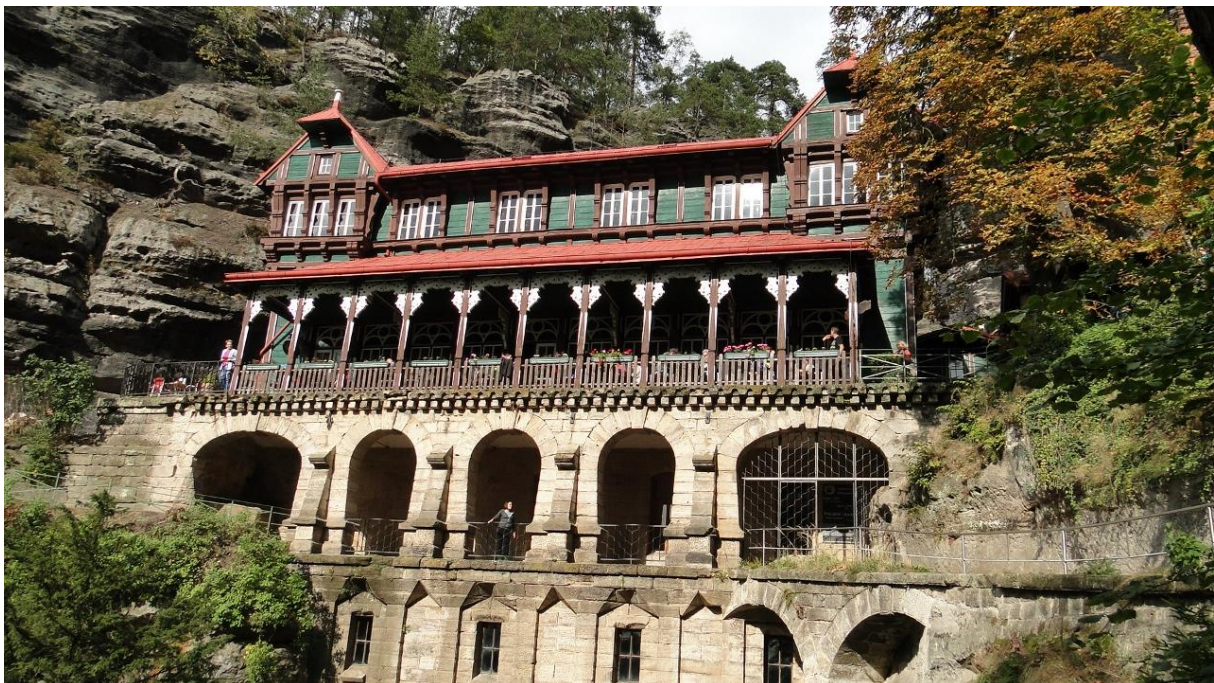


Foto: Krzysztof Tęcza

Gdy idziemy tak już z pół godziny, gdy pot zaczyna zalewać nam oczy, nagle widzimy przed nami jakiś niewielki kamienny mostek. To zaczynają się serpentyny podejścia do naszego ostatniego celu. Nad tym mostkiem widzimy kolejny, nieco większy most, a jeszcze wyżej następny i następny.

Cóż to za wspaniały widok. A gdy w pewnym momencie u góry pojawiają się kamienne mury wzniesionego tu w roku 1881 letniego pałacyku o dumnej nazwie „Sokole Gniazdo” aż przystajemy. Faktycznie obiekt ten robi wrażenie. Ileż to trudu trzeba było włożyć w jego powstanie. Nawet dzisiaj, mimo zmiany przeznaczenia na restaurację, przy kilkuset turystach odwiedzających to miejsce dziennie, ile trzeba wysiłku aby dostarczyć na górę konieczny prowiant. Oczywiście wykorzystywany jest tu linowy wyciąg towarowy ale mimo to zaopatrzenie obiektu wymaga wielkiego wysiłku.

My, wiedzeni zapachem jakiegoś napitku, wszak należało uzupełnić stracone płyny, przyspieszywszy kroku szybko docieramy do ... płotu i kasy biletowej! Okazuje się, że aby wejść do restauracji najpierw trzeba wykupić bilet. Nie ma innej możliwości. Chodzi tutaj oczywiście nie o wstęp do restauracji, ale na teren przy Pravčickéj Bramie (Pravčická brána). Jest to w końcu najbardziej znany obiekt Czeskiej Szwajcarii. Skalna brama ma ponad 26 metrów rozpiętości i 16 metrów wysokości. Początki zainteresowania turystycznego tym miejscem sięgają połowy XIX wieku kiedy to dla wygody odwiedzających zbudowano niewielki wyszynk. Oczywiście spora część wędrowców korzystała wówczas z usług lektykarzy. Jak już wspomniałem w roku 1881 właściciel terenu książę Edmund Clary-Aldringen wybudował nowy obiekt i właśnie wtedy zaczęto pobierać opłaty za wstęp do niego. Później dla bezpieczeństwa wykonano barierki i tarasy widokowe oraz ułatwiające dostanie się tam schody. Początkowo można było chodzić także po sklepieniu bramy. Jednak z czasem, gdy ruch turystyczny przybrał dzisiejsze rozmiary stało się to zbyt niebezpieczne i zamknięto trasę nad bramą.



Foto: Krzysztof Tęcza

Ponieważ dojście tutaj nie należy do lekkich, grupa nasza rozciągnęła się tak bardzo, że zanim przyszedli ostatni my już zdążyliśmy zjeść posiłek. Warto jednak po odpoczynku nie poprzestać na podziwianiu bramy z tarasu i pospacerować po przygotowanych ścieżkach. Dopiero przejście nimi da nam prawdziwy obraz tego miejsca. Na koniec jednak warto zajrzeć na pięterko budynku gdzie zorganizowano galerię. Można tam obejrzeć interesujące fotografie.



Foto: Krzysztof Tęcza

Myślę, że dzisiejsza wycieczka była na tyle interesującą, iż nikt z biorących w niej udział nie może narzekać na brak wrażeń ale była także tak wymagająca, że na pewno każdy z nas, po dotarciu do domu, legnie w swoim łóżeczku i smacznie zaśnie.

O właśnie tak.



Foto: Krzysztof Tęcza

Krzysztof Tęcza